POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX | Warszawa, dnia 1 Października 1927 roku | Nr. 40

ANDRZEJ STRUG

3) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Co im obu znaczyła śmierć? Co ona znaczyła dla pułku i dla wszystkich pułków, czemże była dla całego kraju, dla miljonów ludzi, ogarniętych wojną? Codzienna rzecz... Iluż poległo kolegów w ciągu tych lat, znajomych, nieznajomych, bliższych, dalszych? Zawsze krótki, przelotny był ich żal. Gdy był czas po temu w odwrocie czy w pościgu, stawali na chwilę nad grobem poległego towarzysza, z ręką u daszka patrzyli, jak go przywalają ziemią na wiejskim cmentarzu, pod samotną sosną nade drogą lub w szczerem polu, powzdychali i siadali na koń. Ruszali i natychmiast zapominali o samotnej mogile, która zostawała za nimi. Bo i na każdego z nich czekały tu i wszędzie, dziś zaraz i jutro te same zasadzki i zdradzieckie „taczanki" i szrapnele. Śmierć niewidzialna czyhała i taiła się w każdej zapadlinie ziemi, w każdej kępie leśnej, na przeprawie u każdej rzeczki. Dziś tobie — jutro mnie... I gdyby Antek Barwiński zginął w napięciu i grozie toczącego się boju, minęłaby zapewne bez szczególniejszego wrażenia i ta śmierć ulubionego kolegi. Wnet zatarłaby się ona i cały żal w zamęcie i zamroczeniu kurzawy wojennej. Tak by było, nieinaczej, bo bywało tak zawsze — ileż razy!

Ale teraz po zwycięstwie, w czas spokoju i odpocznienia, w miesiąc po zawieszeniu broni ten zgon wydawał się im czemś wręcz niepojętem... Wraz z żałobną wieścią spadał na nich dziki jakiś absurd całego tego młodego życia, które poszło na marne. Ta śmierć była już zgoła niepotrzebna...

I przypomnieli sobie naraz wszystkich, którzy polegli w tej wojnie. I spostrzegli, uświadomili sobie dopiero teraz, w tej chwili, że wyszli cało, że im już nic nie grozi. Poczuli w sobie bezcenny skarb życia, ujrzeli nieogarnioną przestrzeń czasu — swe nowe, nienapoczęte jeszcze życie, pełne rozkosznych zagadek, dobrych wróżb i niezłomnej młodzieńczej wiary — nadziei na wszystko.

Ogarniało ich tajemne zawstydzenie, jakgdyby kogoś oszukali... Czyż nie byli dobrymi żołnierzami? Jedni giną, reszta wychodzi cało, cóż by to było, gdyby wszyscy... Oczywiście...

Owiała ich powaga grobów. Dowiedzieli się znienacka, że nie wróci żaden z tych nieprzeliczonych...

Przeżywszy całą wojnę na froncie, poznawali teraz ze zdumieniem, co za ogromne dzieje przeszli, jak straszliwą rzeczą jest wojna. I wzdrygnęli się ze zgrozy i porwał ich zachwyt. Poczuli w sobie dumę i ujrzeli poraz pierwszy w życiu swoją własną wielkość. A teraz przeminęła wojna — już jej niema! Co za ulga bezmierna, przesłodka! I co za żal!....

Nie powtórzą się lata górne, ciężkie, ponadludzkie — dokoła już rozściełała się jakaś gnębiąca zwyczajność, czyhała nuda....

* * *

Nie dojeżdżając do Tarastkowicz, gdzie stał na kwaterach pierwszy szwadron, ujrzeli pułkownika, siedzącego nade drogą na wielkim kamieniu i rozmawiającego ze starym chłopem. Chłop stał przed nim bez czapki i prosił o coś, chudy i pochylony, zgięty jak hak. Gadając, wytrząsał sztywną, nędzną bródką i przyciskał czapkę oburącz do wklęsłej piersi. Obok ordynans oprowadzał dwa konie dymiące parą, swego i pułkownikowskiego olbrzyma, grubokościstego huntera Bojana.

Zanim zwolnili, porozumieli się z sobą oczami.

— Co, Braun? Stało się co?

Adjutant wydobył z bocznej kieszeni frencza dziennik rozkazów M. S. Wojsk. rozłożony na wykazie dekorowanych z ostatnich dwuch tygodni i zasalutował.

— Winszuję, panie pułkowniku!

— Co! Co?

Pułkownik złapał papier i wodząc nosem, wpił weń swe krótkowzroczne wybałuszone oczy. Papier dygotał mu w rękach. Ale natrafił, już przeczytał— już wiedział. Wiedział — ale nie wierzył oczom. Czerwona, opalona gęba stała się naraz szara, usta rozwarły się w literę o i tak zastygły, oczy stanęły w słup. Nagle ocknął się, zerwał się na równe nogi.

— Jakto? Co to wszystko znaczy?!

Obaj oficerowie mimowoli roześmieli się, jak na komendę, ujrzawszy przed sobą znienacka potworne jakieś przerażone dziecko z przyprawionemi wąsami, któremu się zbiera na płacz.

— Tak jest, panie pułkowniku — winszujemy!

— Ależ... Ależ to pomyłka! Bo... Bo ja... Ja niedostojny...

— Jakie niedostojny? Co za niedostojny?

— A któż u djabła, panie pułkowniku, będzie w pułku u nas dostojny?

Pułkownik jeszcze raz podniósł do oczu zeszyt rozkazów, odczytał na głos swoje nazwisko, wodząc po niem palcem:

— Pułkownik Aleksander Gacewicz, komendant N. pułku ułanów....

— Ura! Ura!! Ura!!

Zerwał z głowy furażerkę i cisnął ją do góry. Cisnął w górę dziennikiem rozkazów, który z szelestem rozsypał się w powietrzu... Konie oficerów rzuciły się w bok, wspinając się i chrapiąc. Puzo wzniósł do gó-

ły prawicę, jakby zamierzając się na chłopa — stary podał się w tył, zasłonił się ręką, ale Puzo trzasnął się dłonią po tłustym karku, drugą ręką wsparł się pod bok i drepcąc w ciężkich podrygach, sunął bokiem, napierając na chłopa.

— Ej poszoł Ignat w sołdaty,
Dołgo Kat'kie goriewat'....

I puścił się w prysiudy. Chłop rzucił czapkę i uciekał w pole. Puzo przysiadł tylko trzy razy i wywalił się. Siedział na ziemi i sapał. Podbiegł ordynans i zaczął go dźwigać. Chłop zatrzymał się o kilkanaście kroków i patrzał na to przerażonemi oczami.

— Ej ty, staryj sycz!... Braun, gołąbeczku — machaj ty z nim do wsi i rozporządź sprawiedliwie... U mnie na radości pierwsza rzecz dobry uczynek! Krowę jemu zarżnęli nieformalnie, z chaty całkiem wygnali, do córki żołnierze zanadto już przystają, psia ich mać... Braun, dziecko złote, zrób ty cud — na jutro szampana dostań choć jeden tuzin... Jedź na koniec świata... Z pod ziemi wykopaj... Płać, co tylko zechcą... Ukradnij, bracie... Jakże w taki dzień bez szampana? Kiedy mnie w szesnastym roku sierpnia ósmego dnia „Georgij" wyszedł i „na ura" mnie w szwadronie kaczali...

* * *

W Taraszkiewiczach adjutant pojechał do komendy szwadronu a podporucznik Łada — prosto do Bolka Krysińskiego, swego szkolnego kolegi i przyjaciela. Bolek na ławie od strony ogrodu grał w szachy z Francuzem, z którym kwaterowali w jednej izbie.

— Jak się masz, Bolek... Bą żur, mą kapiten!

— Bonjour, jeune homme, asseyez vous!

— No i co powiesz?

— Nic... Antek Barwiński umarł przed tygodniem.

— A niechże ...Co? Umarł! Umarł? Jakto umarł?! Skąd? Dlaczego?

— Po to umarł, żeby nasz Puzo dożył swojego Virtuti. Już dostał, w ostatnim dzienniku rozkazów stoi, jak wół.

— Poczekaj... Cóż to, zakażenie? Tężec? Z takich głupich postrzałów?!

— To był jego los!

— Ależ to okropne....

W młodzieńczym, nieopanowanym jeszcze głosie chłopca wzbierały łzy. Zerwał się z ławy, odszedł parę kroków i chwycił się oburącz za głowę. Francuz podniósł na niego swe martwe oczy.

Podporucznik Łada, który zupełnie nie umiał po francusku, zaczął coś jąkać i pokazywać znakami, ale Francuz nic z tego nie zrozumiał. Wreszcie Bolek opamiętał się. Stanął nad Francuzem i zaczął gadać szybko, wybuchowo, nie wiedząc nawet, że łzy kapią mu jak groch. Po francusku mówił doskonale, on jeden z całego pułku i stąd kapitan Postel de Gonieux (mówiono o nim między sobą poprostu — Podogonie), instruktor sojuszniczej republiki, przydzielony był służbowo do pierwszego szwadronu. Ich przyjaźń była wzruszająca, piękna, nad wyraz śmieszna. Od końca lipca, kiedy to generał Veygand przywiózł tego kapitana z Francji na ratunek ginącej Polsce, byli oni nierozłączni. Niepojętem było, co zjednoczyło ze sobą tych dwuch: — starego, dobiegającego pięćdziesiątki Francuza, starganego i zdeptanego przez wojnę, z dwudziestoletnim, rozkwitającym dopiero chłopakiem, uroczym i głupim. Zakochani w sobie, obaj byli w pułku przedmiotem dobrodusznych i niewinnych żartów, zresztą mocno grubych.

Kapitan kiwał głową, słuchając wylewu żalów przyjaciela, patrząc na jego łzy, ale choć znał i cenił zmarłego rotmistrza, całkiem nie był poruszony straszną wieścią i nawet tego nie udawał, choćby dla prostej przyzwoitości. Wreszcie wzgardliwie wydął wargi i machnął ręką, bąknął parę słów i zabierał się flegmatycznie do skręcania papierosa. Bolek przyskoczył do niego w najwyższym oburzeniu.

— Co on takiego powiedział? — pytał Łada, patrząc groźnie na Francuza.

— Bolèque? Que c'est que t'a pris? Mon garçon....

Francuz zapalił papierosa i gadał. Właściwie wykładał jak nauczyciel dziecku, pedantycznie, głosem znudzonym, patrząc na chłopaka swemi martwemi czarnemi oczami. Była to raczej maska, niż żywe oblicze ludzkie, nic w niej ani drgnęło, nie objawiała się żadna myśl ani uczucie. Mówiąc, zaznaczał jakby przerwy i wpadał w pewien rytm. Głos mu opadał, jakby przygasając ku końcowi zdania i podnosił się znowu, a rytm ów podkreślał ale jakby dla samego siebie, wytrząsając sobie palcem pod samym nosem. Palec z grubym sygnetem herbowym był obcięty w górnym stawie. Chwilami, mówiąc, przymykał oczy i wówczas jego przykra twarz stawała się twarzą nieboszczyka.

— Co on gada?

— Ale jesteście jeszcze narodem w powijakach, wasz żołnierz to niemowlę, a cała wasza wojna, to nic więcej, jak miła zabawa... Straty... Komu tu mówić o stratach! Ilu przez te dwa lata zginęło w waszym pułku?

— Wielu zginęło! Jakto?

— Wiem, że wielu. Może piętnastu, a może nawet i stu piętnastu — to wszystko jedno. A w kompanji, którą dowodziłem w Argonnach pod Verdun, a potem nad Sommą, zginęło do dnia zawieszenia broni — w jednej kompanji — ośmiuset sześćdziesięciu trzech żołnierzy, a dwa tysiące jedenastu było rannych, z których zmarło co najmniej dwadzieścia procent. Poczekaj! Oficerów w tej samej kompanji poległo dwudziestu siedmiu, a rannych było stu piętnastu, z których dwadzieścia procent co najmniej....

— Bolek, co on mówi? — pytał Łada, usiłując coś wyczytać z twarzy kolegi.

Te cyfry opętywały dwudziestoletniego podporucznika. Kapitan znowu po swojemu zażył go z mańki. Już był wytrącony z żałobnego rzewnego nastroju, ale jeszcze się nie poddawał. Owszem, różne i rozmaite bywają wojny — to jeszcze nie racja, żeby gdy ginie taki oficer, taki człowiek... .

—To też by u nas nikt nie nastarczył martwić się każdą stratą dobrego kolegi. Już w pierwszym roku wojny odwykliśmy od tego całkiem. Inna wojna — inni ludzie...

— Inna wojna — inni ludzie... Ale to dręczy jeszcze, iż zeszedł tak głupio z tego świata — parę lekkich draśnięć i już po wszystkiem, jakby niepotrzebnie. Taki los.

— Los.... Warto wspomnieć, bo to ciekawe, był w mojej kompanji kapral, który od samego początku wojny, poza dziesięciodniowemi urlopami dwa razy do roku, przez całe cztery lata był w szeregu i ani razu go nawet nie drasnęło. A że to był cud—to ci powiem, że pod ...,. nad Sommą dwie miny trzysto kilogramowe ugodziły prosto w nasze stanowisko. Osiemdziesięciu zabitych od wybuchu, stu zasypanych żywcem, ja zasypany po szyję — pół godziny mnie odkopywali, złamane nogi, obojczyk — reszta ranni, a on nic. Tylko go przyprószyło ziemią. Za tym razem nic i potem aż do końca nic. I dopiero po zawieszeniu broni...

(D. c. n.)

38)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

Pchnięcie butem w skronie rozciągnęło go na brzuchu. Wtedy, prężąc ramiona i drapiąc ziemię zakrzywionemi palcami, próbował pełzać. Jego pogniłe zęby zgrzytały straszliwie.

Nie stracił przytomności. Wiedział, że go odrywają od śniegu, na którym jego kraw utworzyła czarne bruzdy. Wiedział, że go ciągną do nieszczęsnej jaskini.

Wstrząsnął nim tytaniczny dreszcz i starec zrozumiał, że zbliża się do niego młody książę. Usłyszał, jak zawył: Feliks! Feliks! Feliks! ujrzał, jak Jussupow chwyta pałkę kauczukową i rzuca się na niego.

Niby uderzenia dzwonów, rozbrzmiewały w nim razy, jakie mu książę zadawał w twarz. Lecz daremnie walił Rasputina po głowie i czole, starec wiedział, że nie zginie, dopóki Jussupow będzie przy nim.

Leżał na wznak, głuche rzężenie wstrząsało jego ciałem. Nabrzmiałe lewe oko nie istniało już. Ale prawe z rozszerzoną powieką żyło całą potęgą pragnienia, nienawiści i wiary. Wydawało się, że nic nie ugasi tego ognia. Żył w niem duch Rasputina, nieprzezwyciężony i nieśmiertelny.

Ktoś odciągnął Jussupowa. Natychmiast osłabienie, przeciwko któremu nie miał broni, przebiegło wzdłuż ciała Rasputina. Rzężenie przycichło. A jednak bronił się jeszcze. Pragnął przezwyciężyć ciemności, które zaciskały nieubłaganą zasłonę dokoła niego, i posługiwał się w tym celu tą siłą, co przez tyle lat pozwalała mu ujarzmiać dusze, a przychodziła skądinąd. Myślał przez chwilę, że zatryumfuje, gdyż ujrzał dokładnie dwuch żołnierzy zbliżających się do niego z niebieską materją i sznurami.

Lecz gdy zaczęli go zawijać, gdy poczuł na ciele chropowate sukno, gdy był już zupełnie odłączony od ziemi, powietrza i wszystkich żywiołów, wśród których żył tak potężnie i które były bystrem źródłem jego mocy, stracił odwagę. I po tych pierwszych oznakach słabnącego pragnienia zrozumiał, że śmierć wstępuje w niego.

Czas mijał, Rasputin był już tylko trupem osznurowanym od stóp do głowy, ale ciało upierało się przy życiu.

Ciepło nie chciało ustąpić z tego ciała, które pałało nienasyconem pragnieniem. Giętkość nie opuszczała tych członków, które tak lubiły tulić się do słodkich kobiecych ciał. Krew uciekała kropla po kropli, ta krew, karmiona z dziką rozrzutnością winem i pożądaniem.

Pomimo trucizny, mimo rozdartej piersi, rozstrzaskanej głowy, ciało uczuło, że rzucają je na ławeczkę. Stukanie wozu sprawiało mu ból. Dotykały go nogi poprzez niebieski całun, odczuł ich ciepło. Szeptały głosy, a chociaż nie było w nich nic wzruszającego, pieściły ludzkiem słowem tego, który już nie należał do ludzi.

Rasputin nie żył, ale aż do chwili zatrzymania samochodu ciało jego czuwało. Zadrżało, gdy owionęła je ostra mgła nocy i zamarzłego kanału. Uczuło kołysanie, w które je wprawiły mocne ramiona.

Gdy woda zamknęła się nad jego ciałem, trzy palce prawej ręki zagięły się obok siebie, jakby na znak krzyża.

Była czwarta nad ranem.

XII

UPIÓR

Była czwarta nad ranem.

Lena obudziła się ze snu. Nie przypominała go sobie wcale, ale był tak silny, że trwał jeszcze w ciele młodej kobiety. Rozgorączkowana, zlana potem, odrzuciła kołdrę i czuwała pośród nocy.

Wąskie łóżko, ciemności, poduszka i powietrze na obnażonem ciele — oto co składało się na jej bytowanie. Ośrodkiem tego wszechświata olbrzymiego i ograniczonego było jej ciało, które zmogła rozkosz.

I nagle uświadomiła sobie, że radość, której nie można było porównać z żadną, radość poniżająca ale dotychczas niezaznana nawiedziła ją i zwierzyła jej swoją tajemnicę w tym pokoju samotnym, klasztornym, w tem niewinnem ciele.

Liza podciągnęła kołdrę, a następnie słuchała z przerażeniem zbyt głośnego bicia serca.

Nie mogła wiedzieć, że w tej samej chwili olbrzymia Rosja rozbrzmiewała rozpustnem wyciem mniszek bez skazy, że święci eremici przeklinali w swoich klasztorach Boga, lecz czuła, że dusza wyuzdana i wreszcie wyzwolona czyniła tę noc nieczystą, że demon straszliwy i cielesny wmięszał się w chór archanielski.

Liza uczyniła znak krzyża. Ale miast uspokoić, ruch ten napełnił ją trwogą. Był sztuczny, padał na pustą duszę. Nagle coś ulatywało z niej, coś się usuwało, traciła najmocniejsze oparcie. Nigdy dotąd nie odczuwała Liza podobnego zamieszania. Pomyślała o cesarzowej, przypomniała sobie wieczór, w którym ją poznała. Wierzyła wtedy, że znalazła zbawienie, przewodnika. Czemu jednak ten obraz wyniosły, godny czci i dobry nie zdołał jej uspokoić? Dlaczego teraz odnajdywała w nim Liza bezsilność, dlaczego był bezwolny, jak ona sama? Dlaczego na tym obrazie zarysowywał się drugi z twarzą spopieloną, brodatą, o sinych wargach, bladem spojrzeniu i dlaczego obraz ten był przejrzysty, jak widmo?

Następnie inny obraz zjawił się na tym, kładł się nań, ale nie zasłaniał i nie łączył z nim. Twarz młoda o rysach prawidłowych, z czołem twardem i szczerem.

Dlaczego Dolin przy Rasputinie? Które z tych ust śmiały się szyderczo?

Liza zamknęła oczy i wszystko zniknęło, prócz szyderczego śmiechu. Był to śmiech szyderczy, prawdziwy, ten sam, który wykrzywił wargi Jerzego, podczas ich ostatniego widzenia się i który ich rozłączył. Miała wrażenie, że już wtedy przewidziała tę rozwiązłą noc i przeczuła nieodwołalne wydarzenie.

Starała się powrócić do snu, z którego obudziła się olśniona, ale daremnie! Ktoś niewyraźny i niezwyciężony uniósł ją w krainy niedostępne dla ludzi.

Liza nie wstydziła się miażdżącej radości, ale musiała rozumieć.

Co takiego? Nie potrafiłaby powiedzieć. A jednak wszystko w niej drżało z niepokoju.

Nie mogła leżeć, gdy świat się przeistaczał.

Szybko się ubrała. W szpitalu znajdował się samochód, zawsze w pogotowiu. Liza, która nigdy nie skłamała, rzekła do szofera:

— Muszę jechać do miasta po lekarstwa.

Włożyła swój czepek pielęgniarki i pojechali.

W drodze Liza nie mogła o niczem myśleć. Drzewa, kościoły, domy, śnieżne pochyłości, które światło latarni wydobywało z mroków, gubiły się natychmiast. Zatrzymawszy się przed pałacem Dolinów, Liza odprawiła zdziwionego szofera.

Dopiero wtedy przebudziła się. Ujrzała, że ulica była opustoszała, że panowała głucha noc. Zamknięta siedziba i bez oświetlenia wydawała się twierdzą. Przed wykonaniem stanowczych ruchów, uświadomiła sobie całe szaleństwo tego kroku. Unieść bronzowy młotek, mówić do zaspanego portjera, poprosić Jerzego — jak mogła wyobrazić sobie, że uczyni to kiedykolwiek? Szukała wzrokiem: samochód, który ją przywiózł, był już tylko lśniącym owadem w głębi alei.

Liza żałowała, że wykonała swój zamiar, ale tylko przez chwilę. Odczuła natychmiast, że nie mogłaby oderwać się od domu, pod który rzucił ją własny jej poryw. Zaczęła przemierzać równemi krokami chodnik przed bramą oświetloną latarnią. Oddalała się, ale nie traciła jej z oczu.

Od czasu do czasu przechodziła jakaś prostytutka, lecz widząc Lizę i sądząc, że to miejsce jest zajęte, szła dalej szukać innego bez konkurencji.

Jakiś mężczyzna lekko podchmielony podszedł do Lizy i chwycił młodą kobietę za ramiona. Oswobodziła się, ale bez wstrętu. Tej nocy rozumiała wszelkie pragnienia, wszelkie spojrzenia. Gdy przechodziła pod latarnią, śledziła z przyjemnością kształty, które zarysowywał jej bezwstydny cień.

Liza nie myślała już o Jerzym. A jednak przez całą godzinę pełniła straż przed jego domem.

Jakiś samochód zatrzymał się przed pałacem Dolinów. Wysiadł mężczyzna. Nastąpiła przyciszona rozmowa i samochód jął sunąć ostrożnie, zatapiając się w ciemnościach.

Liza szepnęła:

— Jerzy.

Było to jak podmuch, ale ulica była tak spokojna, że Jerzy dosłyszał. Nie musiał szukać tej, która go wzywała. Już była przy nim spokojna i radosna.

Liza rzekła:

— Czekałam na ciebie. Byłam pewna, że cię ujrzę.

Nie poznając jej i nie dziwiąc się, odpowiedział:

— Wejdźmy prędzej, nie trzeba, żeby mnie widziano.

Jerzy znalazłszy się w swoim pokoju, rzucił się natychmiast na łóżko; nie zdjął butów, zapomniał o istnieniu Lizy. Nie zapalił światła. U wezgłowia migotało tylko światło lampki z przed ikony. Światło to rzeźbiło twarz Jerzego z taką słodyczą, iż wydawała się nieomal szczęśliwą. Ale Liza, podchodząc bliżej, zauważyła, że powieki są jakby zwiędłe i że dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki.

Liza zapomniała, że chciała wiedzieć. W tym pokoju pełnym cieniów nocy i cennej zbroi nic nie wchodziło w rachubę dla Lizy, nic prócz tej pięknej umęczonej twarzy.

Wtem Jerzy szepnął:

— Nie zapominajcie o płycie. Już więcej nakręcać nie mogę.

— Bredzisz — powiedziała czule.

— *Yankee Doodle,* jeszcze raz — błagał Jerzy. — Nie zapominajcie o płycie. Nie mam już sił. *Yankee Doodle.*

— Uspokój się, kochanie. Jestem tutaj.

Ujęła jego głowę w obie ręce. Dolin otworzył oczy. Nie ujrzał twarzy pochylonej nad sobą, ale jedynie świecące zagięcie ramion, szyję pełną światłości, niewyraźny zarys piersi. Nie wiedział, że była to Liza. Jakaś kobieta znajdowała się tak blisko niego, że czuł wewnętrzny rytm jej ciała, kobieta cała w bieli i cała w ciemnościach.

On powracał z nieszczęsnego pałacu, stamtąd, gdzie trzeba było zużyć tyle czasu, ażeby uśmiercić czarownika. Miał krew na palcach. Kołysał nad niewidoczną wodą ciepłe jeszcze ciało. Ale umęczenie było silniejsze od zmory. Umęczenie było tak straszne, że wypoczynek nie mógł go pokonać. Konieczne było unicestwienie.

(Dok. nast.).

Notatki literackie

„PIEŚNI O SŁAWIE"

Trzeba stwierdzić smętną prawdę: społeczeństwo nasze nie reaguje na słowo poetyckie. Zdarza się jednak niekiedy, iż poeta zdobywa sobie popularność. Jest to zjawisko niezwykłe. Należy bacznie mu się przyjrzeć, rozważyć, gdzie kryją się czynniki, pobudzające ogół do zaciekawienia. Nie decyduje to jeszcze o umiłowaniu, ale często przekłada drogę do sympatji. Kto zdobył sobie w naszem społeczeństwie te uczucia? Wiersze Or - Ota świadczą o trwałej sympatji, jaką zyskał ten poeta wśród szerokich warstw czytelniczych. Pieśń jego jest wyrazem tych uczuciowych stanów, które są obecne w piersi każdego współczesnego polaka. Nic dziwnego więc, że wiersze jego są czytane. Rozchodzą się, jak na nasze stosunki, w wydaniach bardzo licznych. Oto obecnie ukazały się w nowej edycji Or - Ot'owskie „Pieśni o Sławie".

W zbiorze tym znajdujemy „Dumę o księciu Sułkowskim", opowieść poetycką „jak umierał jenerał Dąbrowski", pieśni „O księciu Józefie", wiersz na „Pozdrowienie Gdańska", o „Grochowie i Woli". Już tytuły tych utworów wskazują, czemu wiersze te są popularne wśród najszerszych warstw polskich. Dodać należy, iż urok poezji Or-Ota'a nie słabnie od lat. Nie zdystansowały go nowe generacje poetów. Gwiazda jego poezji świeci równo od lat trzydziestu na firmamencie naszej literatury. Or - Ot posiada własny świat wzruszeń: umie z patrjotyzmu wykrzesać płomienie. Próbowali tych tematów i inni poeci. Miast żywego słowa dawali retorykę. Odczuł to ogół i pozostał wierny swemu pieśniarzowi. Nowe wydanie jego „Pieśni o sławie" należy powitać z uznaniem.

JULJUSZ SŁOWACKI — PRÓBA SYNTEZY

By zrozumieć, jak powolnie rozwijało się w społeczeństwie naszem uznanie dla twórczości Juljusza Słowackiego, wystarczy wziąć jakąkolwiek publikację kryterjoznawczą choć z przed lat dwudziestu a traktującą o twórczości autora w „Szwajcarji". Ile trzeba było zużyć argumentów, by przekonać o pięknie utworów, których teraz już nikt nie kwestjonuje. Leży właśnie przed nami praca prof. dr. Michała Janika p. t. „Juljusz Słowacki — próba syntezy". Jest to nowe wydanie studjum, które zostało opublikowane poraz pierwszy w roku 1909, w sprawozdaniu II Szkoły realnej we Lwowie. Gdy się zważy datę powstania tej pracy — trzeba odnieść się do tej syntezy z pełnym respektem. Studjum prof. Janika w szkolnictwie jeszcze i teraz może być bardzo pożyteczną, podręczną publikacją.